



Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 80. — Na stacjach pocztowych w Cesarstwie, Królestwie, za granicą i w Redakcji kwartalnie rs. 2 kop. 50. — Półrocznie rs. 5. — Rocznie rs. 10. Numer pojedynczy kop. 17. — w Krakowie prenumerować można w księgarni pana Friedleina. — w Poznaniu w księgarni pana Leitgebera, płacąc za półrocze 8 guldenów albo 5 talarów.

Treść Numeru: Nieznana Mogiła przez K. Wł. Wójcickiego. — Przyczynki do historii literatury powszechniej. Ludwika Kerr — Krzyżowe drogi. Powieść składana w listach czterech autorów. — Obrazy na wystawie zachęty sztuk pięknych w Warszawie. — Doniesienia literackie. — O ubiorach.

NIEZNANA MOGIŁA

PRZEZ

K. Wł. Wójcickiego.

I.

Przed pół wiekiem blisko, cmentarz powązkowski pod Warszawą, smutny przedstawiał obraz. Kościółek stał ten sam co dotąd istnieje, i mur obręb szczupły ziemi opasywał. Była to wydma piaszczysta, nierówna, którą zamykały z przeciwnej strony, wysokie, piętrowe, sklepione, murowane *katakumby*. Ściany ich, świeciły na tablicach marmurowych złocistymi napisami dla tych, których zwłoki, za drogie pieniądze, uzyskały przywilej spoczywania w wyniesieniu po nad mogiły w łonie matki ziemi przygotowane.

I na tej wydmie wznosiły się kamienne pomniki, obok prostych drewnianych krzyżów, których żadne drzewo, żaden krzew nie ocieniał i zdołał. Gdzie niedługo tylko ujrzałeś świeże lub zwiędłe kwiaty i wieńce, które posypała lub złożyła ręka przyjaźni, albo miłości.

Silniejszy wiatr, lotny piasek wzbijał w gęste tumany chmury, i przerzucał w różne strony cmentarza. Pod murem nieraz po burzy wznosiły się pagórki, jak w zamieci zimowej śnieżne wysokie nasypy!

W bliższych nam latach, to miasto umarłych, ludniejsze od Warszawy, zmieniło się w powabny ogród: troskliwie czuwająca ręka, rok rocznie zasadza drzewa, które bujnie rozrastają, zasilane zwłokami pogrzebanych. Wydma, wstrętna, piaszczysta, jak step nagi, zniknęła, przez wiosnę i lato ptastwo się gnieździ i świergotaniem swoim uwesela tę ciszę grobów, którą przy pomroku nocy, przerywa czasami przeraźliwy głos puszczyka, owego wróźbitę śmierci, z pod katakumb wyniosłych.

Czterdziesty trzeci rok wkrótce upłynie, kiedy wóz żałobny, parokonny, wolno zbliżał się do smutnego cmentarza. Trumna z prostych desek zbita, i czarno pomalowana spoczywała na nim.

Ksiądz jeden z siwym dziadem, co niósł krzyż z wizerunkiem Zbawiciela, i małe pachole w komży z wo-

da święconą i kropidłem, szli na czele karawanu. Za skromną trumną postępowało tylko kilka osób. W tym szczupłym orszaku była młoda jeszcze kobieta, ale smutna, załamiona, kryjąca oblicze pod czarnym żałobnym woalem.

Był to dzień piąty Maja 1826 roku: na pogodnym niebie wybijało słońce i jasnym a ciepłym promieniem orzeźwiało świat Boży. Po nad murami w pobliżu których przeciągał ten smutny korowód, skowronki wlatujące zawodziły śpiewy swoje; zielonym liściem drzewa rozwijały po nad rozmajoną ziemią, a zwłoki zgasłego powoli coraz zbliżały się do tej wieczystej ustroni, w której na zawsze spocząć miały.

Zdjęto trumnę z karawanu, wniesiono na cmentarz: czekała na nią otwarta mogiła, w pobliżu katakumb wykopana. Po krótkiej modlitwie kapłana, pokropioną święconą wodą, spuszczone w łono ziemi i zasypano żółtym piaskiem. Ciszę ponurą, przerywał tylko jęk z głębi rozkrwawionego serca młodej kobiety, która z płaczem rzewnym upadła na kolana. Obecni, podnieśli ją z ziemi i odwiedli za mury cmentarza.

Takim był pogrzeb wielkiego poety Antoniego Malczeskiego, twórcy powieści *Maryja!*

W Kurjerze Warszawskim z tego dnia czytamy te słowa.

„Obecni tu przyjaciele ś. p. J. Pana Antoniego Malczeskiego, oddali mu ostatnią chrześcijańską posługę, znajdując się przy pochowaniu zwłok jego na cmentarzu Powązkowskim“.

* * *

Nasz poeta urodził się w zamożnej rodzinie. Ojciec jego Jan generał b. W. P. posiadał niemały majątek. Oprócz miast *Radziwiłłowa* i *Warkowicz* oddawna dziedzicznych, miał okazałą majątność *Antoniny* pod Zaskawiem, gdzie mieszkał. Dotąd na starodrzewach pięknego ogrodu, zachowały się cyfry Antoniego Malczeskiego, i wierszyki zgrabne jego ręką wyrte, które oglądał jeszcze niedawno Tadeusz Jerzy Stecki, znany pracownik w literaturze naszej.

Ale nierząd, przy wystawnem życiu sprowadził upadek wielkiego niegdyś domu. Matka Antoniego, Konstancja z Błęzyńskich w młodym go wieku odumarała: spoczywa na cmentarzu OO. Bernardy-

nów w Warkowiczach: ojciec w Dubnie, gdzie straciwszy całą fortunę zamieszkiwał, i zakończył życie.

Twórca *Maryi* urodził się w Warszawie d. 3 Czerwca 1793 roku, i był starszym synem, a rodzice w całej jeszcze zamożności żyli. Dziecinne jego lata otaczały zbytek i wystawność, ale niedługo mu przyświecały.

Pierwsze nauki odbierał w Dubnie, wraz z młodym Franciszkiem Skibickim (I) z tych to lat, zawiązała się między nimi serdeczna przyjaźń.

Podkomorzyna Skibicka, pragnęła dać jednemu synowi swemu, jak najstaranniejsze wychowanie, sprowadziła w tym celu z Krakowa i z Francji wyborowych nauczycieli, którzyby pod jej okiem kształcili go naukowo. Towarzyszem jego nieodstępnym był wtedy Antoni Malczeski.

Tadeusz Czacki, który pojmował dobrze wyższość wychowania publicznego młodzieży nad domowem, namawiał usilnie p. Skibicką, aby obu młodzieńców powierzyła jego staraniu, i oddała do Liceum Krzemienieckiego. Szanowna matrona wahała się długo co do swego syna, ale Malczeski z początkiem roku szkolnego zapisany został w poczet uczniów Krzemienieckiej szkoły. W rok później przecież, gdy sama własną ręką, przypięła złoty medal Malczeskiemu jako nagrodę za odznaczenie się w naukach: osiadła stale w Krzemieńcu i syna swego do tejże szkoły oddała. Uszczęśliwiona postępem w naukach, obu młodzieńców, wdzięczną była Czackiemu, w którym nie tylko zwierzchnika, ale opiekuna i jakby drugiego ojca dla nich znalazła.

Malczeski czeił ją jak matkę; kiedy wraz z jej synem przybył do Warszawy, niezapominała poważna matrona o tym wychowanku swoim.

Nasz poeta też pisze pod dniem 10 Stycznia 1815 roku z Warszawy w przypisku do listu Fr. Skibickiego.

„Niech pani przyjmie także wyrazy prawdziwej przyjaźni i uszanowania. Tyle dobroci, tyle grzeszności doświadczyłem już tyle razy od pani, że prawdziwie nie mam wyrazów do wysłowienia mojej wdzięczności i obowiązków dla niej.“ (2)

1) Z żyjącym Senatorem w Warszawie.
2) Z autografu.

Bawiąc w Warszawie, odnowił dawną znajomość z księżną Fryderykową Lubomirską z domu Załuska. Młody, urodny i wykształcony potrafił zyskać jej serce: gdyby była rozwiedziona otrzymałaby jej rękę (1). Księżna wyjechała do Szwajcaryi, Malczeski pośpieszył w jej ślady. Tam zerwany został ten stosunek; zawiedziony w najdroższych nadziejach, bez widoku żadnego na przyszłość, postanowił podróżami zagoić krwawe rany serca.

We trzy lata niespełna, widzimy Malczeskiego w podróży na Górę-Białą (Mont-blanc). Opisał ją po francuzku w liście do profesora Picteta z Genewy 1818 roku, w miesiącu Sierpniu. Podamy z tego listu ciekawsze ustępy.

„Nie będę opisywać podróży mojej z Genewy do Szamuni, sama tylko *Góra-biała* zajmowała moją uwagę, i pałałem niecierpliwością wstąpienia na jej wierzchołek. W *Salanches*, gdzie pierwszą noc przepędziłem, chciałem zasięgnąć wiadomości, ale te były odstręczające.

„Wystawiono mi nieskończone trudności, rozpowiadano o ogromnych rozpadlinach, które się niewiedomo jakim potworzyły sposobem, wreszcie, że nie podobna już było zbliżyć się do *Góry-białej*, i śmiało się gdy powiedziałem, że chcę wejść na jej wierzchołek.

„Nazajutrz nowe nieszczęście, niebo się zachmurzyło i deszcz zapowiadano.

„Przybyłem więc do *Szamuni* z niewielką nadzieją osiągnięcia celu mojej podróży, lecz przewodnicy, zmniejszili zaraz przesadzone wieści, o tych straszliwych rozpadlinach. Pośliśmy nieco po lodach, powiedziano mi o górze *Sterta-południową* (*L'aiguille-du midi*) zwaną, na której nikt jeszcze nie był. Chodziło więc o odkrycie nowej między górami doliny, a przynajmniej nowego przechodu. Zapomniałem już o *Górze-białej*, a cały pałałem chęcią zwiędzenia tej sterty. Niechciałem jednak dla niej porzucić góry, która niejako jest wszystkich innych królową, a dla dogodzenia moim chęciom, zamierzyłem daleko rozciąglejszą drogę, to jest przybywszy na *stertę południową*, szukać z tamtąd przejścia na *Górę-białą*, a z niej zwyczajną powrócić drogą.

„Poszedłem ku *Stercie południowej* w towarzystwie sześciu przewodników. Przebywszy wąwóz *Montanvert* i *Morze lodowe* (*Mer-de glace*), przyśliśmy do *Tacul* o godzinie siódmej wieczorem. Nocleg to niewygodny: są to skały otoczone lodami, w bliskości niewielkiego jeziora, które na noc znika. Zimno było wielkie: ciepłomierz Réaumura stał na I st. niżej zera. Nazbierano prędko rośliny *rododendronu*, która jeszcze rośnie na tych skałach, a nanieciony wielki ogień, wkrótce ogrzał i rozweselił naszą gromadkę. Po wieczery śmieliśmy się i gwarzyli. Opowiadano mi wiele dziwnych rzeczy o tych górach, nakoniec przewodnicy moi układli się spać około ogniska, a mnie dało wygodniejsze miejsce, na jednym mniej niż inne ostrym, a chropawym kamieniu. Byliśmy pod ogromnym urwiskiem skały, która wisiała nad nami, a za najmniejszym powiewem wiatru, dym bił nam w oczy. Widoki te były dla mnie tak nowe, że nie mogłem spokojnie zostawać na miejscu: wdrapałem się na bryłę kamienia niedaleko z tamtąd leżącą. Księżyc oświetlał tę pełną skał i lodów pustynię, ale nie ośmieliłem się ani umysłu zaspokoić nie mogłem. Ludzie śpiący na około gasnącego już ogniska — zdawali się być przychodniami do krainy śmierci, gdzie uledek mieli nieodzownemu losowi, bo im wiszące nad głową bryły lodu i śniegu groziły. Zimno wreszcie spędziło mnie z miejsca z którego poglądałem. Obudzili się ze snu przewodnicy, rozniecono znowu ogień, i resztę nocy spędziliśmy na pogawędce. O godzinie czwartej rano ruszyliśmy w dalszą drogę; dla bezpieczeństwa, przywiązaliśmy się jedni do drugich powrozami. Szliśmy naprzód brzegiem

jeziora, które było znikłe, widzieliśmy tylko nagie kamienie, które składały jego łożysko i przebywszy rozpadliny będące na drodze do góry *Col-du Geant*, weszliśmy na płaszczyznę utworzoną ze śniegu. Tu złożyliśmy naradę którą drogą pójść mamy; były przed nami trzy lodowe sterty, które nas na *Stercie południową* wyprowadzić mogły.

„*Sterta* po prawej stronie będąca, zdawała się bardzo urwista i rozpadlin pełna, udaliśmy się więc na drugą, której pochyłość, podnosiła się dosyć powoli, a myśl moja wyobrażeniami pięknych dolin, któreśmy znaleść mieli, była całkiem zajęta. Ale same tylko trafialiśmy przepaście. Znużeni, uniknąwszy niebezpieczeństw, ujrzelśmy nakoniec *Południową Stertę* i o godzinie czwartej po południu, weszliśmy na jej wierzchołek. Góra ta, ze strony Szamuni, przedstawia dwie skały, przedzielone bryłą ziemi, okrytą śniegiem. Zstąpiliśmy na niższą z nich i nawet na bryłę okrytą śniegiem, albowiem druga skała jest niedostępna, i podzielona na wiele ostrych wierzchołków. Tu, przekonaliśmy się nakoniec, że z tąż żadną miarą na *Górę-Białą* dostać się niemożna. Widok z tej skały jest bardzo rozległy, widać tu przez grzbiec góry *Col-du-Geant* większą część Lombardii, i te piękne Włochy, które ukazując się z po za wierzchołków gór lodowych, przypominały rozkoszne Elizejskie pola, które wyobrażnia starożytna, za smutnymi widziała grobami. Spostrzegliśmy z tąż przeorstwo Szamuńskie, ale obłok część doliny przed nami zakrywał. Było już późno: trzeba powracać do *Tacul*, bo przemokli znużeni i nie starannie odziani, nie mogliśmy na śniegu nocy przepędzić. Inną drogą, omijając przykre przepawy, pośliśmy i szczęśliwie stanęli w Szamuni.

Czwartego Sierpnia Malczeski, przy drugiej wycieczce, wdarł się na *Górę-Białą*, na jej wierzchołku półtorej godziny zabawiał.

„Widok był zachwycający (pisze) i wyższy nad pojęcie. Świeżość drzew i dolin, śliczne zakręty jeziora, mogą przyjemnie zachwycać serce i umysł, ale stojąc w środku tego nieporządnego gór tłumu, tych brył olbrzymich i niekształtnych, co z pośród śniegów i lodów wyglądają, wędrownik mniema, że jest świadkiem pierwszej chwili stworzenia, kiedy wszystko, cokolwiek ma cechę człowieka, znika, zaledwie postrzegać się dają, lekkie miast ślady, które ręka przeznaczenia oznacza do wzniesienia na przyszłość. Wszystko, zdaje się zapowiadać tę wielką godzinę, i przerażony tą myślą, skwapliwie zstępuje na dolinę, żeby w ogromie wielkich przemian, które dziać się mają, pochłoniętym nie został. Opuściliśmy więc ten jedyny w świecie widok, i około godziny szóstej wieczorem przybyli do skał *Grands-mulets*. Radość, którąśmy po szczęśliwej wyprawie uczuli, wszystkiemu przejemną i czarującą nadawało postać, a wejście na *Górę białą*, zdawało się igraszką w porównaniu do smutnych i straszliwych przepraw, na *Południową stertę*“.

Ustępy z tej zuchwałej wędrowki, okazują jak dojrzał powoli ten geniusz poetyczny. Na tych wysokościach po nad ziemią, obudzały się w nim nowe myśli, nowe wrażenia. Z wierzchołków gór olbrzymich ujrawszy uroczę Włochy, niemógł już ich pominąć: czarowny pociąg, wabił go do pięknej Italii, do niej też co rychlej pospieszył, jakby wiedziony przeczuć, że pod tym pogodnym niebem, zataleje w jego duszy, utajony ogień prawdziwej poezji.

W ciągu podróży swoich wyuczył się dokładnie języka angielskiego, i oddał się z całym zapętem poznaniu i zgłębieniu literatury starego Albionu.

Świetniał w niej właśnie potężnym geniuszem Lord Byron, który, po rozłączeniu się z żoną, wypiszący pełną czarę goryczy we własnej ziemi, i skrycie puszczone oszczerstwa, opuścił ojczyznę z postanowieniem niewracania nigdy do niej.

Równo z wiosną skazawszy się na dobrowolne wygnanie, przebiegł Niderlandy, latem stanął w Genewie, a przy końcu Października przybył do Wenecyi na dłuższy w niej pobyt.

Malczeski pospieszył do tej *królowej mórz*, jak ją dawniej zwano, zapoznał się z największym poe-

tą angielskim, i doznał przyjaznego a serdecznego przyjęcia.

Byron liczył trzydziesty ósmy rok życia, Malczeski daleko młodszy, patrzył na dziwaczny sposób życia autora znanych już poematów jak *Giaura*, *Narzeczonej z Abydos*, *Korsarza*, *Lary* i świeżo przed opuszczeniem ojczyzny wydane: *Obleżenie Koryntu*, *Paryżynę* i *Pożegnanie do żony*, w którym całą winę ich rozłączenia sam jeden przyjmuje na siebie. W Wenecyi całe dnie poświęcał na pływaniu, lub ujeżdżaniu koni: w nocy, oddawał się usilnej pracy w nauczaniu się języka Ormjańskiego u księży tegoż wyznania: pisał poezje lub oddawał się rozkoszom i zbytkom. W pośród takiego to życia, Malczeski, którego nierazidy tego rodzaju wybryki angielskiego poety, przywiązał się silnie do Byrona, olśniony potężnym geniuszem.

Wpływ jego na młodego wędrowca był przeważny: twórca *Giaura* obudził w nim pierwsze poczucie, i prawdziwe natchnienie poetyckie.

Skorzystał z tej znajomości i Byron bo z opowiedzianego szczegółowo przez Malczeskiego podania o hetmanie Mazepie, powstał wkrótce poemat znany i upowszechniony w literaturze naszej mistrzowskim przekładem A. E. Odyńca. Przedmiot sam przypadł wiele do smaku angielskiemu poecie: dzielny jeździec, znawca koni, mógł po mistrzowsku odmalować przywiązanego Mazepę do dzikiego rumaka, jak go unosi w bezładne stępy. Jakoż Byron ukończył go w roku następnym, a Malczeski pierwszą myśl powziął napisania poematu w rozmiarach utworów Bajronowskich. Niewiemy, czy już wówczas utworzył jakiś plan, lub zwrócił uwagę na przedmiot później pochwycony, prędzej domyślać się możemy, że za powrotem do kraju i w samotnej osiadłszy ustroni wiejskiej, podanie tak rozgłośne i z niezbyt dawno odegranego dramatu, wziął za ośnowę do swój *Maryi*.

To tylko pewna, że oznajomienie się z literaturą angielską, a następnie zbliżenie do Byrona, przeważny wpływ nań wywarło, i wskazało mu nowe tory prawdziwej poezji.

Trzy lata bawił we Włoszech, najwięcej przemieszkował we Florencyi. Zwiedził Francję, mieszkał długo w Paryżu uczęszczając na naukowe zebrania i słuchania kursów literatury.

Pobyt za granicą kosztowny i podróże strawiły większą połowę majątku, jaki mieć mógł po rodzicach zamożnych. Wrócił do kraju bogaty wiedzą, i naukowem wykształceniem, ale z trwogą tajemną z czego resztę dni życia utrzymać: mała tylko bowiem cząstka ocalonego przez matkę mienia została.

(d. n.)

PRZYCZYNKI

DO HISTORJI LITERATURY POWSZECHNEJ

Ludwika Kerr.

Każdy kto choć cokolwiek czyta, zna nazwisko i znaczenie Idy Pfejffer. Znakońmita ta kobieta zwiedziła cały świat i opisała swoje podróże, za co została członkiem rozmaitych geograficznych i uczonych towarzystw.

De la Roquette, najstarszy członek i prezes Towarzystwa Geograficznego paryżkiego, znający osobście Idę Pfejffer bo mu była poleconą przez Aleksandra Humboldta, w wydaniem przez siebie dziele pod tytułem: *Naukowe i literackie Korespondencje*, zamieścił z jej powodu następującą uwagę.

„Autor biografii Idy Pfejffer, zamieszczony w *Biographie Universelle* (Michaud) myli się kiedy twierdzi, że Ida była jedyną kobietą, którą spotkał ten zaszczyt, że została przyjętą na członka Towarzystwa Geograficznego paryżkiego i berlińskiego, oraz rozmaitych innych naukowych towarzystw. Ja sam znam inną jeszcze kobietę angielską, wysoko wykształconą, niezmordowaną podróżnicę, Ludwikę

¹⁾ Bibliot. Polska. Sanok 1855. gdzie przy przedruku poematu *Maryi*, jest list Józefa hr. Załuskiego brata księżnej Lubomirskiej.

Kerr, która nie objechała na około świata jak Ida Pfeiffer i o ile wiem bardzo mało o swoich podrózkach pisała, ale zwiedziła także po kilka razy spory kawał ziemi i jest członkiem Geograficznego Towarzystwa w Paryżu, w Wiedniu, w Genewie, w Lipsku, oraz członkiem dwudziestu przeszło rozmaitych archeologicznych i uczonych towarzystw. Byłaby pewnie została także członkiem Towarzystwa Geograficznego w Londynie, gdyby uczone to towarzystwo, przyjmowało kobiety do swojego grona.

Krótką tą wzmianką p. De la Roquette o Ludwice Kerr dopełniam wiadomościami z innych źródeł czerpanymi.

Ludwika Kerr żona wyższego urzędnika sądowego angielskiego w Indiach Wschodnich, pochodzi z arystokratycznej angielskiej rodziny Hayl. Ojciec jej i dziadek byli generałami w indyjskiej armii; urodziła się w Bombay 20 Lipca 1824 r. Stolica ta zachodniego indyjskiego półwyspu, niezmiernie bogata, leżąca w zachwycającym położeniu, łączyła w sobie wschodni przepych z zachodnią cywilizacją. Tutaj to Ludwika Kerr odbierała początkowe jak najstaranniejsze wychowanie pod okiem ojca, który w godzinach wolnych od służby zajmował się naukami przyrodzonymi, szczególnie botaniką. Ztąd to nawykła wcześniej do badań nad naturą, i zjednała sobie w bliższych kółkach wielkie poważanie.

Kiedy miała lat 9 oddano ją na najlepszą pensję w Londynie, gdzie nawet rozwinął się w niej niepospolity muzyczny talent i poetycki dar. Mając zaledwie dziesięć lat improwizowała kadryle do lekcji tańca i komponowała pieśni, które zachwycały jej nauczycieli i koleżanki.

Pierwszego dnia każdego miesiąca uczennice pensji, obowiązane były pisać wiersze, panna Ludwika nie tylko swoje zadanie szybko odrabiała, ale jeszcze potajemnie pisała wiersze dla wszystkich swoich koleżanek. Już na ową pensję widać było, że historia i literatura bardzo ją przyciągały do siebie. Wielki wpływ wywarło na nią i nadało jej stanowczy kierunek, dzieło jej kuzyna Tomasza Mathiasa pod tytułem: *Obecny Bieg Literatury* rodzaj historii, i biografii współczesnego piśmiennictwa. Nie mało także wpłynęło na nią obcowanie z lady Davy, żoną prezydenta Towarzystwa Królewskiego w Londynie (Royal Society of London) sławnego chemika i fizyka, u których zwykle przepędzała wakacje. W młodym bardzo wieku opuściła pensję i powróciła do domu rodziców do Bombay.

Wkrótce weszła tam w wysoki świat, brała udział w jego czarujących zabawach, w owych wschodnio zbytowych balach i koncertach u jenerałego gubernatora Indji, gdzie zgromadzali się dostojni książęta, lśniący złotem rajahy i nababy, oraz oficerowie i urzędnicy wyżsi angielscy. Zjawienie się jej, jej świetne talenty i niezmiernie ujmujące ułożenie, uczyniło ją odrazu środkowym punktem arystokratycznego towarzystwa. Mimo to serce jej nie przylgnęło do tych światowych okazałości, rozum jej nie dał się uwieść tym ponętnym blaskiem i rozkoszom, jak się to wkrótce pokazało. Młody gentleman (tak się nazywa w Angli człowiek dobrze wychowany umysłowo i moralnie) syn jenerała Kerr poznał ją na balu i prosił o jej rękę. Chociaż obok owego sybaryckiego przepychu w nie bardzo powabnych kolorach przedstawiała się jej przyszłość, jako małżonki urzędnika sądowego na małej wyspie, daleko na Oceanie Indyjskim bo aż blisko Chin leżącej, mimo to przyjęła jego oświadczenie i została jego żoną.

Na tej to wyspie oddała się zupełnie swoim ulubionym zajęciom. Żyjąc samotnie po całych dniach w swojej willi, bo mąż z powodu swoich obowiązków musiał częste i długie odbywać podróże, oderwana zupełnie od wykształconego towarzystwa, musiała być wszystkim sama dla siebie. Zajęła się więc owadami i roślinami i ułożyła dla ojca przeszliczny zbiór owadów i roślin znajdujących się na wyspie, na której mieszkała. Niedługo urodziła się jej córeczka, ale ciężka choroba i niezdolny klimat rozstroił jej zdrowie; musiała

więc razem z mężem wrócić do Bombay. Tutaj to, w rodzicielskim domu, dotknął ją najboleśniejszy dla matki cios, mała jej córeczka umarła. Zeby ją oderwać od tych dolegliwych wspomnień, chciało ją posłać do Europy — nie chciała opuścić męża i przyjechała z nim napowrót na ową wyspę Pulo — Pinang. Zdrowie jej zaraz się pogorszyło, to też przez trzy miesiące mieszkała na półwyspie Malakka. Skoro i ta zmiana miejsca nie jej nie pomogła, popłynęła z młodszą swoją siostrą do Europy. Przybywszy do Europy uczuła się jakby w swoim żywiole. Talent jej do muzyki i poezji, uśpiiony przez jakiś czas, odżył z całą siłą. Zaczęła znów komponować dzieła muzyczne i układać pieśni. W tym to czasie podłożyła pod muzykę około trzystu cudzych i swoich pieśni, z których wiele stało się popularnymi i bardzo lubionymi na koncertach. Część tych pieśni poświęciła królowej Wiktorji, część księżnie Augustie wdowie po Księciu Cambridge (Kembrycz) a część księżnie Kent, wyborniej, jak wiadomo, fortepjanistce. Wyszły one wszystkie pod tytułem *Songs of Hope and Memory* (Pieśni nadziei i wspomnień). Oprócz tego drukowała rozmaite drobniejsze poezje w wielu perjodycznych pismach.

Alę największą jej zasługą, co jej przyznała cała angielska prasa jest wyborne tłumaczenie dzieła Leopolda Ranke'go pod tytułem: *Revolucja Serbska*. W napisanej do tego tłumaczenia przedmowie, i w wielu dodanych własnych swoich uwagach, wystawiła w jaskrawym świetle położenie chrześcijan pod panowaniem Turcji. Praca ta jej wyszła w Londynie u księgarza Murraj pod tytułem: *History of Servia and the servian Revolution*.

Z większych jej poetycznych utworów ważniejsze są dwa: *La Zagala de Cardena*. (Pasterka z kardeny) i tragedia *Bona Sforza* w której i charakter żony Zygmunta starego i charakter Króla i narodu w ową epokę wybornie jest nakreślony.

Oprócz tego zajmowała się i innymi jeszcze sztukami pięknymi. Była wyborną rzeźbiarką; kopjowała w Rzymie różne utwory klasyczne; malowała też przeszliczne krajobrazy, które znawcy wysoko cenili.

Ludwika Kerr objechała wszystkie prawie strefy ziemi. W Indiach na przykład na jachcie swojego ojca *Lucie* tak nazwanym od imienia jej córeczki, poznała wszystkie tamtejsze wody a w Europie po kilka razy zwiedziła Francję, Włochy, Grecję i Niemcy. Gorąca przyjaciółka nauk, została przyjętą na członka największych nawet uczonych towarzystw prawie we wszystkich stolicach Europy.

Niedawno temu Towarzystwo Geograficzne w Lipsku, dostało od niej nie tylko znaczny zasiłek pieniężny, ale oprócz tego niezmiernie ciekawy rękopis indyjski pod tytułem: *Talisman*. Rękopis ten, napisany sanskrytem, przetłumaczony został przez Jakóba Richardsona, wydrukowany w Rocznikach Towarzystwa 1866 r, z objaśnieniami profesora Krela.

Kończąc ten krótki życiorys musimy jeszcze dodać, że właśnie mamy pod ręką jeden numer pragskiej gazety: *Naród*, w którym czytamy, że Czeskie Muzeum którego prezydentem jest hr. Clam Martinitz wybrało na członka Ludwikę Kerr razem z Murchisonem i innymi znakomitościami na polu nauki i sztuki.

Salon pani Kerr, która naprzemian bawi to w Londynie, to w Paryżu, to w Wiedniu jest ogniskiem zebrania dla wszystkich ludzi, zajmujących wyższe stanowisko w dyplomacji, w naukach i w sztukach. Rzadki wdzięk w objęciu się i chwytająca za serce uprzejmość, sprawia to, że ją wszyscy bardzo poważają i kochają. Mąż jest najszcześniejszym człowiekiem na świecie.

M. Gliszczynski.

KRZYŻOWE DROGI

POWIEŚĆ

składana w listach czterech autorów.

Pani Girardin
Teofil Gautier
Juliusz Sandeau
Méry

Irena de Chateaudun
Edgar de Meilhan
Rajmund de Villiers
Roger de Monbert.

(Dalszy ciąg).

Dokończenie listu Ireny de Chateaudun.

Po obiedzie siedzieliśmy na tarasie; zbliżył się do mnie.

— Racz pani wybaczyć — odezwał się z uśmiechem — że dopiero teraz udaję się z prośbą o przebaczenie nieprzyjemności, jaką dziś przy źródle mimowoli pani wyrządziłem.

— Przestraszyłeś mnie pan cokolwiek, — odrzekłam — ale to trwało tylko chwilę.

— Spostrzegłem to, zbladła pani bardzo!

Może pani na kogo czekała? zapytał po chwili i głośnie tak drżącym tak pełnym dziwniej niespokojności, że odrzekłam prędko, może nawet za prędko:

— Nie panie, nie czekałam na nikogo.

— Czy mnie pani widziała w alei?

— Dostrzegłam zdaleka ale nie zwróciłam na to uwagi.

— Musiała więc być jakaś inna przyczyna tego nagłego przestraszenia?.. Czy czasem nie jakie podobieństwo?

— Nie.

— To dziwne; jestem tem niezmiernie zaciekawiony.

— I ja także dodałam, jestem również bardzo zainteresowana.

— Czy co do mojej osoby?..

— Cokolwiek — odrzekłam — bo wybaczyć zbytniej może otwartości, ale chciałabym bardzo wiedzieć, dlaczego pana przezwali Donkiszotem?

— Ah! na to będzie trochę trudno odpowiedzieć, żądasz bowiem wyjawienia mej własnej tajemnicy, ale opowiem ją, jeżeli mnie pani do tego upoważnia. Nazywają mnie Donkiszotem, bo jestem do pewnego stopnia warjatym, oryginalnym, entuzjastą zapalonym wielbicielem wszystkiego, co szlachetne i święte, nieprzyjacielem zaciętym każdego modnego obecnie wiarołomstwa, marzycielem pięknych czynów, obrońcą uciśnionych, prześladowcą złych i samolubów — bo posiadam przytem wiele wiary, nawet wiary w miłość i mam przekonanie, że człowiek kochany powinien się sam szanować przez szacunek dla kobiety która go kocha. Nadto w każdej chwili życia, taki powinien myśleć o niej z zapalem, unikać wszystkiego co by mogło jej się niepodobać, i zachować się dla niej, nawet w jej nieobecności, nawet po za jej wiedzę, zawsze takim, jakim jest przy niej. Człowiek kochany, podług mych śmiesznych zasad, jest rodzajem dygnitarza; powinien się zachowywać jako bóstwo i ubóstwiać się czynami o ile można. Mam także cześć dla mej ojczyzny, kocham mój kraj jak stary weteran dawniej straży... Moi przyjaciele powiadają, że jestem prawdziwym francuzem, z wodewillu, ja im odpowiadam: wolę być francuzem z wodewillu niż być jak oni fałszywymi Anglikami stajennymi. Nazywają mnie walecznym rycerzem, bo się z nich śmieją jak mówią o kobietach w sposób ubliżający tymże, i radzę im by milczeli zatrzymując w tajemnicy wszystkie doznane zawody i doświadczone uludy. Podobne bowiem pomyłki, powiadają im, dają złe wyobrażenie o ich guście i rozsądku, bo ja zawsze tak byłem szczęśliwy, iż kobiety do których się zbliżałem były wszystkie dobre i doskonałe, postępowały ze mną szlachetnie i nie miałem nigdy powodu skarżenia się na nie. Nazywają mnie Donkiszotem, bo kocham sławę i tych wszystkich co jej

szukają, pojmuję wszelkie bezinteresowne poświęcenia, wszystkie szaleństwa zużyte; rozumiem jak można żyć dla jednej myśli a umierać dla jednego słowa. Mam nadto współczucie dla tych, którymi pogardzam, mam zwyczaj mówić zawsze prawdę: dowodząc że kłamstwo nigdy się nie opłaci. Jednym słowem jestem ofiarą niepoprawną, systematyczną i nienasyconą: wolę zbłądzić, rzucić się w czyn dobry choć niebezpieczny, aniżeli pozbawić się go nieufnością. Widząc złe wierzę w dobre: złe wprowadzie przemaga, bierze górę codziennie, ale trzeba być sprawiedliwym i przyznać, że uprawiają go z wielką starannością; gdyby robiono te same wysilenia dla rozszerzenia dobrego, niezawodnie następstwa stałyby daleko widoczniejsze. W końcu pani, największą moją niedorzecznością jest to, że wierzę w szczęście na ziemi i szukam go z naiwną pewnością.

Wiem że go trzeba kupić, wiem że największe rozkosze są te, jakie się najdrożej opłacają, ale jestem gotów do największych poświęceń i oddałbym chętnie życie za godzinę tej najwyższej radości o jakiej tyle razy marzyłem i na którą czekam...

Otóż to przyczyny, dla których nazwali mnie Donkiszotem. Ale się wcale nie mylą, rzemiosło rycerza, jest ciężką pracą w teraźniejszych czasach, trzeba nie małej odwagi śmieć powiedzieć niewiernym: wierzę; samolubom: kocham; spekulantom: marzę. Na to trzeba nawet więcej jak odwagi, trzeba śmiałości i zuchwalstwa. Tak, trzeba zacząć od pokazania się złym, by mieć prawo stania się wspaniałomyślnym. Gdybym był tylko prawym i litościwym nie nazywanoby mnie Donkiszotem, ale takim jakim jestem, bywam nim czasem, bo i Donkiszot miał chwile strasznego gniewu co go robiły wielkim i strasznym.

Spieszę się też z okazaniem méj broni, jestem zuchwałym z zuchwałymi, wyśmiewam się z wyśmiewających; bronię mego zapалу ironią i jak orzeł z pod chmur na świat patrzę, grożąc mu szponem jakby śmiertelnym pociskiem.

Potem nastąpiła chwila milczenia.

— Ah! mój Boże! dodał jeszcze, porównałem się z orłem, przeproszam panią po tysiąc razy, za to dumne porównanie... Otóż to do czego mnie pani doprowadza... Probował się rozśmiać, ale ja nie śmiała się wcale.

Walenty, to co ci powtarzam jest dalekiem od tego co mówił. Jakaż to wymowa jaśniała w jego szlachetnych wyrazach, w tonie głosu, w blasku oczu? Wspaniałomyślne uczucia długo wstrzymywane, rozlewały się z rozkoszą; był szczęśliwym czując się w końcu pojętym, mogąc choć raz w życiu zdradzić bez nierozwagi wszystkie skarby swego serca, mogąc nazwać głośno wszystkie swe drogie wygrane bóstwa, bez bojaźni znieważania ich władzy i nazwy! Upajał się zaufaniem i przywiązywał się do mnie tym wszystkim co mnie śmiało powierzał.

Odnajdywałam się z radością w obrazie, jaki skreślał o sobie; widziałam w jego przekonaniach głębokich, w prawdach silnych i świętych, wszystkie poetyczne wiary mego młodego wieku, które nazwano tyle razy fantazją, marzeniem i szaleństwem. Zwracał mnie więc do szczęśliwych dni dzieciństwa, przypominając i powtarzając jak ostatnie echo przeszłości, owe szlachetne słowa jakich się już dziś nie słyszy, dumne zasady honoru, i piękne zwrotki rycerskie jakimi moje dzieciństwo było kołysane. Słuchając go mówiłam sobie: jakżeby go moja matka kochała? I te wspomnienia, napępniały łzami me oczy. Ah! nigdy takie myśli nie nawiedzały mnie w obec Edgara i Rogera. Widzisz Walenty, że to on! to on! Siedzieliśmy tak razem od godziny, zajęci temi poufnymi marzeniami, zapominając o otaczających nas, o miejscu w jakim jesteśmy, o tem kto jesteśmy sami, jednym słowem o wszystkim.

Z całego otaczającego nas świata, została tylko świeża woń rozchodząca się z drzew pomarańczowych, ustawionych na tarasie i słodkie światło jakim wschodzące gwiazdy oświetlały niebo.

Trzeba było wejść do salonu: siedziałam przy okrągłym stole, kiedy Edgar zbliżył się do mnie.

— Co pani jest? zapytał. Czy jesteś cierpiącą?

— Zimno mi trochę, odrzekłam z pewną cierpkością.

— Ach! jak nudny ten jenerał dodał, zajął mi całą wieczór...

Jest to wielka nieprzyjemność bawić kogoś podobnego.

Zapomniałam ci powiedzieć że pomiędzy gośćmi był jakiś jenerał.

— Rajmundzie... mógłbyś mi trochę pomódz zabawić naszego wojaka, odezwał się Edgar. Pan de Villiers zbliżył się do stołu przy którym byliśmy, i spostrzegł w czeskim wazonie bukiet przemiennie przyniesiony.

— Ah! zawołał głosem wzruszonym, znam te kwiaty. Spojrzał na mnie, zarumieniłam się. I ja także odezwał się Edgar, który nie mógł zrozumieć znaczenia tych słów i wskazując najpiękniejsze kwiaty bukietu dodał: to pelargonium diadematum corineum.

Okropna ta nazwa wywołała okrzyk z méj strony. To pelargonium diadematum corineum! powtórzył cicho pan de Villiers z uśmiechem przyjemnym i dowcipnym.

O! wcale nie to chciałem powiedzieć...

Teraz ja spojrzałam na niego i wraz z nim rozśmiałam się serdecznie, ale bo dlaczegoż Edgar jest uczonym?

Jestem wielkim dzieckiem, opowiadając ci wszystkie te drobnostki, ale najmniejsze szczegóły tego dnia są dla mnie drogie. Około północy rozeszliśmy się i znalazłam się samą z wielką przyjemnością. Wzruszenie jakiego doznałam było tak silne, że mi było pilno ukryć go przed światem, a nawet przed tym, co je wywołał. Chciałam się zbadać w samotności. Z kąd takie pomieszanie? Nic się tego dnia ważnego nie stało, nie zobowiązałam się do niczego, a jednakże jakaś zmiana zaszła w całej méj istocie.

Serce moje zwykle spokojne, było wzruszone i palące, myśl zwykle niespokojna była pewną; i któż tak zmienił to wszystko?.. Nieznajomy... Czemże sobie zasłużył na takie odróżnienie? Podniósł kilka kwiatków upadłych w wodę... Ale nieznajomy miał na czole aureolę wymarzonego ideału, jego głos słodki i śliczny miał ton pana, rozkazujący i od pierwszego spojrzenia zawiązała się między nami owa tajemna zgodność braterska, ów związek serc stosownie dobrany, wdzięczność niezmienna, współczucie, echo wspólne, wzajemna wymiana uczuć, harmonja gorąca i wzniosła, z jakiej się wyradza w jednej chwili miłość wieczna, jak to szlusznie poeci utrzymują.

Dla zyskania choć trochę spokojności, chciałam pogawędzić z tobą i usiadłam przy stoliku, ale nie miałam odwagi pisać, i tak przesiedziałam całą noc drżąc i przygnębiona tem silnem wzruszeniem; cóż ci powiem? Nie myślałam, nie modliłam się, nie żyłam, kochałam i wszystkie władze méj duszy, były zapełnione tą miłością.

Dzień już switał oddawna, a ja nie pojmowałam, że noc już minęła; o piątej usłyszałam ruch w ogrodzie, gracowali piasek, kosili trawę; oczy moje były bardzo zmęczone, chciałam odetchnąć świeżem rannem powietrzem i zesłam na taras.

Wszyscy w zamku spali jeszcze, okiennice były pozamykane i z trudnością otworzyłam drzwi prowadzące z przedsionka na podwórze. Przechadzałam się jakiś czas po wielkiej alei, potem przeszłam przez mostek i marząc, zaszłam do lasku, w jakim odpoczywałam wczoraj. Jakiś mimowolny urok wspomnienia doprowadził mnie aż do źródła, nie aleją lipową, ale boczną drogą, gdy nagle przed sobą Walenty ujrzałam go, był tam... był sam zamysłony, siedział na ławce wprost skały, a oczy jego błyszczące i smutne zwrócone były w stronę, gdzie mnie wczoraj widział! Zatrzymałam się radosna, jednakże przejęta strachem chciałam uciec, bo czułam, że moja tamże obecność była więcej jak wyznaniem. Był to dowód jego władzy; wszak już powiedziałam, że przyzywał mnie niejako a ja przy-

szłam!.. Spostrzegł mnie... Oh! jakże zbłądził.. Widząc go tak wzruszonym uspokoiłam się nieco. Odgadłam że myśli nasze w godzinach rozłączenia były jedne, że nasze uczucia zrobiły równe postępy. Wstał i podszedł do mnie.

— To musi być miejsce przez panią ulubione, powiedział, ustępuję go chętnie, ale możesz wynagrodzić to poświęcenie jednym słowem. Przyznaj mi szczerze, czyś się żdziwiła zastawszy mnie tu?

— Nie, nie, odpowiedziałam, ale moje zapłonienie było aż nadto wymowne. Kiedy patrzył na mnie, usłyszałam jakiś szmer: była to wiewiórka co przybiegła do źródła, ugasić pragnienie. Zadrżałam a pan de Villiers zrozumiał, że to z obawy aby nas razem nie dostrzeżono. Chciał się oddalić, ale dałam mu znak by został, a sama wróciłam szybko do zamku. Zeszliśmy się niedługo, i przepędzili cały dzień razem, to przechadzając się z panią de Meilhan i jej synem, to zajmując się muzyką; to rozmawiając z obojętnymi, ale zawsze z równem zajęciem z sobą, z cichą radością i tajemnym upojeniem. Edgar był niespokojny, pani de Meilhan bardzo zadowolona, miłość bowiem jej syna zaczynała ją trochę kłopotać, widziała zatem niemal z przyjemnością rodzącą się rywalizację, która mogła wszystko zerwać. Niewiem co może nastąpić, ale przewiduję wiele nieprzyjemności, tłumaczeń, upokorzeń, odjazdów i pożegnań, słowem wiele złego...

Ale mniejsza o wszystko, jestem szczęśliwa, kocham i nic w życiu nie rozumiem, jak tylko to, że kochać jest urzeczywistnić wszystkie marzenia, wynieść się po nad siebie i stąpając po ziemi, powiedzieć z mocnem przekonaniem: jestem w niebie. Tą razą nic nie mówię o tobie droga Walenty, ani o naszej stariej przyjaźni, ale czyż każdy wyraz tego listu nie jest czułem słowem przyjaciółki? Opowiadam ci bez przymusu wszystkie naiwne uczucia serca: tak szalone, trudnoby było wyznać nawet przed matką, czyż to nie dowód, że jesteś siostrzyczką wybraną sercu?

Całuję moją małą chrześniaczkę Irenę. Oh! jakże to dobrze i słusznie z jej strony, że wyrasta na piękną pannę.

Irena de Chateaudun.

LIST XX.

ROGER DE MONBERT DO PANA EDGARA DE MEILHAN.

w Richeport przez Pont-de-l'Arche.

Paryż 8 lipca 18...

Drogi Edgarze, płeć nasza musiała wynaleść głupotę, bo jak kobieta nas zdradza lub porzuca, jesteśmy tak dobrzy, że przedłużamy naszą rozpacz do nieskończoności.

Niestety! tacy są mężczyźni! Kobiety są dumniejsze od nas. Gdybym ja porzucił pannę de Chateaudun, nie poruszałyby z pewnością kurzu na wielkich drogach goniąc za mną. Obawiam się, czy czasem niema silnego zarodu miłości własnej, w naszych męskich namiętnościach. Miłość własna jest starszym synem miłości. Rozwinę tę teorię w właściwym czasie; do filozofii trzeba spokojności. Dziś jestem obowiązany prowadzić dalej szaleństwa, błagając rozsądek by na mnie czekał jak powrócę.

W ciemnościach rozpacz, rzucamy się w stronę horyzontu gdzie cokolwiek błyszczy, czy to latarnia, gwiazda, fosfor lub jakie światło zwodnicze.

Byłbyż to brzeg? czy skała tylko? W tej chwili odebrałem depezę i tą razą mgła zdaje się rozjaśniać. Oszczędzając ci wszystkich szczegółów drobnych opisanych przez moich wiernych służących, którzy są więcej przebiegłi jak zdolni do pisanja listów, dowiedziałem się, że panna de Chateaudun przed miesiącem wyjechała do Rouen.

Zakupiła dwa miejsca w wagonie, poznano ją na stacji. Panna służąca towarzyszyła jej. Co do te-

go nie ma już żadnej wątpliwości, fakt jest pewny: Irena znajduje się w Rouen, mam tego dowody.

Stary intendent mojej familji, poczciwy człowiek oddany zupełnie naszemu domowi mieszka w Rouen. U niego będę miał punkt obserwacyjny i nie zaniebdam niczego by osiągnąć szczęśliwy skutek poszukiwania.

A zatem wyjeżdżam; nie pisz już do mnie do Paryża. Koleje żelazne są wynalezione i dla spraw sercowych. Pierwszą szynę założył człowiek zakochany, ostatnią przemysłowiec. Co za szczęście! Rouen jest przedmieściem Paryża! Szybkość komunikacji, pozwoli mi przepędzić z tobą w Richeport dwie godziny i uściskać Rajmunda.

Dwie godziny zyskane w życiu, które przepędzę z najdawniejszym z moich młodych przyjaciół.

Z jaką radością powitam szlachetnego Rajmunda, ostatniego z błędnych rycerzy, zajętego zapewne badaniem starych ruin, i szukającego tamże tradycji miłosnych.

Jakże to okropnie drogi Edgardzie, biedz za odkryciem tajemnicy, w głębi której jest kobieta! Tak Irena jest w Rouen, to pewne; wierzę w to, Rouen jestto wielkie miasto pełne hoteli, domów i kościołów, ale miłość jest wielkim indagatorem, zbada miejscowość w ciągu doby i każe przechowywaczowi normandzkiemu oddać pannę Irenę de Chateaudun.

Ale co będzie potem? Czyż mi będzie dozwolone dochodzić praw, na młodej osobie tak dziwnego usposobienia? Czy jest sama w Rouen? A może mnie grozi jeszcze większe nieszczęście. O! wtedy to trzeba będzie prosić Boga o siłę, o moc powtórzenia z uśmiechem drugiego dwu-wierszu włoskiego poety:

Col mio rival istesso
Passo di te parlar.

Do widzenia, drogi Edgardzie, biegnę koleją pełną nadziei.

Roger de Monbert.

LIST XXI.

RAJMUND DE VILLIERS DO P. VICE-HR. DE BRAIMES.

Hotel prefektury w Grenoble.

Richeport 8 Lipca 18...

Pani.

Czyż potrzebuję powiedzieć, że odjechałem głęboko wzruszony twą dobrocią, unosząc w sercu jedno z najdroższych wspomnień: przeżyje ono moją młodość. Wszak widzieliście moje wzruszenie w godzinie wyjazdu? Ściskając rękę pana de Braimes, tę rękę uczciwą, która także darzyła uściskiem rękę mego ojca, czułem jak oczy moje napełniły się łzami. Jak zaś odwróciłem się, by was raz jeszcze zobaczyć, wpośród gromadki pięknych waszych dzieci, które zdaleka zaszyły mi ostatnie pożegnania, to zdawało mi się, że pośród was zostawiam najlepszą część mej istoty; miałem nawet jakiś żal do was, żeście mnie tak prędko wyleczyli. Moi przyjaciele nadali mi nazwę Donkiszota, nie wiem dobrze dlaczego; ale to wiem tylko, że mając zapewnienie takiego zadosyć uczynienia jakieście mi ofiarowali, każdy chętnie podejmie się roli mściciela pokrzywdzonych i pogromcy olbrzymów, a nawet od czasu do czasu rzuci się w ogień dla ratunku jakiej lady Penock.

Palnę jaką męczennicy otrzymują w niebie, tyś mi pani dała na ziemi. Ukazałaś mi się jak jedna z owych życzliwych czarodziejek, które odpędzają złych duchów. Nie miałaś przy sobie laski czarodziejkiej, ale powab co rozwesela smutek i wdzięk kochającej cierpienia. Smiałam się dotąd ze stólków, którzy dowodzą, że boleść nie jest złem; ale twój uśmiech gdyś siedziała przy mnie, godził mnie z ich zdaniem. Dotąd sądziłam, że cierpliwość i poddanie się były to cnoty nad moje siły i odwagę, dowiodłaś

mi, że cierpliwość jest słodką a poddanie łatwem. Wierzyłem, że zdrowie jest najwyższym dobrem, dowiodłaś przeciwnie. Pan de Braims brał udział w tem wszystkim, nie mówiąc już o drogich waszych malcach, którzy zamienili mój pokój w ogród i klatkę, a sami byli najpiękniejszymi kwiatkami i najweselszymi ptaszkami. W końcu jakby jeszcze nie dosyć było życia, przywróconego mi waszemi staraniami, dodaliście, by podwyższyć jego wartość, dar klejnotu nieocenionego, waszą przyjaźń. Dzięki wam stokratne i błogosławieństwo! Zdaje się że szczęście wraz z wami nawiedziło mnie. Wyście byli jutrenką zwiastującą blask dzienny, przedstępem melodji, odzywającej się od wczoraj w mem łonie. Jeżeli uznaję wasz słodki wpływ w tajemniczych rozkoszach jakich doznaję od kilku godzin, nie odbierajcie tego złudzenia. Wierzę tak jak wierzyła moja matka, wpływ tajemnicze. Wierzę, że jeżeli są istoty przekłete, co bezwiednie ciągną za sobą nieszczęście i sieją go po swój drodze, są inne, które przeciwnie naznaczone palcem Bożym, nie domyślając się same tego, dają szczęście wszystkim, co ich spotykają.

szczęśliwy podróżnik, co na swój drodze spotkał tak jak ja, jedną z owych istot uprzywilejowanych! Sama obecność tychże ściągają błogosławieństwo nieba, ziemia kwitnie pod ich stopami.

Pani posiadasz bezwątpienia dar odżegnywania fatalnych czarów.

Jak gwiazda rozświetliłaś mi horyzont, a lady Penock znikła jak cień. Dzięki tobie dostałem się nad brzegi Sekwany bez owego fatalnego spotkania, jakie mnie przesładowało tak długo. Nadmienię tylko, że gdzieś się zatrzymał dla zmiany koni, właściciel spalonej oberży z jakiej zostały tylko ruiny, poznawszy mój powóz, przyszedł upominać się o wynagrodzenie szkód, zrzędzonych przezemnie w jego domu, to jest za wybicie szyby, wybicie drzwi i połamie drabiny. Polecam panu de Braims, ten dowód rozumu jednego z jego podwładnych.

Pomimo przywilejów błędnego rycerza, przybyłem już bez żadnych wypadków, do moich kochanych gór, które od lat trzech nie odwiedziłem, widok ich niezmiernie mnie rozradował. Ten kraj podobałby się pani, jest biedny, ale poetyczny. Lubilabyś zielone ustronia, przestrzenie nieuprawne, ciche doliny, małe jezioro błyszczące jak kryształy pomiędzy krzewami. To mnie najwięcej zachwyca, że to strony nieznanne, że nigdy ciekawiec, ani turysta popospolity nie opisał tych piękności. Zamek mój nie ma wcale wspaniałego pozorów, jestto mały zameczek postawiony nad brzegiem rzeki, otoczony lasami, które go chronią w zimie od wiatru, a w upały od gorąca. I tam, jeżeli nadzieja jaka mi się uśmiecha nie jest złudzeniem, jeżeli jasność jaką widzę, nie jest iskrą fantazji, tam, w tych miejscach gdzie ujrzałem świat, chcę schować moje szczęście... Widzisz pani, że ręka moja drży jak pisze.

Jednego wieczora, przechadzaliśmy się razem, pod drzewami waszego ogrodu, a dzieci bawiły się koło nas na trawie.

Szliśmy wolno rozmawiając, nie wiem już jakim zwrotem doszliśmy w rozmowie, do owiej potrzeby miłości, która męczy każdą młodość.

Pani mówiłaś, że miłość, to rzecz ważna, że często od pierwszego wyboru zależy życie całe. Ja opowiadałem o dążeniu do owiej rozkoszy, dotąd mi nieznannej, do jakiej ciągnął mnie instynkt, jak Kolumba do nowego świata. Słuchałaś mnie poważnie i milcząca, a kiedy skreśliłem ci obraz kobiety widzianej w oczach, a napróżno szukanej na niewdzięcznym gruncie rzeczywistości, przypominam sobie, jak uśmiechnąwszy się powiedziałaś: „Nie wąż, ona istnieje; spotkasz ją“.

Czyżbyś mówiła prawdę? Miałażby to być ona? Nie róbmym hałasu, wstrzymajmy oddech, by jej nie spłoszyć.

Po pierwszych dniach użytych na odszukanie pamiętek lat dziecińczych, i napawania się wonią rodzinnego gniazda, pojechałem do Paryża. Gdybyś pani mogła zobaczyć, jak przepędziłem te kilka godzin w owym chałaśliwym mieście, zdziwiłabyś się bardzo. Konie szybkim biegiem uniosły mnie

w stronę odludnej uliczki i podług wskazania stanęły przed domem smutnym i samotnym.

Pociągnąwszy ciężki dzwonek, uczułem gwałtowne bicie serca, tak jakbym tam miał witać po długiej nieobecności, starą matkę, co mnie płacze, lub młodą ukochaną siostrę.

Wziąłem od odźwiernego klucz zawieszony na gwoździu, i nieociągając się wszedłem na schody, które na spojrzenie nie obiecywały wcale wygodnego przejścia. Ale jestem z kraju górzystego, to też nigdy marmurowe schody miękko wysłane, ozdobione brązami, nie były zapewne tak szybko przebiegane, jak ta wązka drabina. Otworzyłem prędko drzwi jak człowiek co zna dobrze zamek, wszedłem do małego pokoiku, gdzie stanąłem nieruchomy, spoglądając do koła milczący, zadumany i wzruszony.

Nic tam niebyło, jak tylko stół założony książkami i kurzem, fotel stary dębowy, kółko małe i twarde a na kominku w glinianych wazonach, wyrobionych przez Zieglera, jedyna ozdoba tego biednego schronienia, kilka pęków zwiędłych i suchych astrów. Nikt mnie tam nie czekał i ja się nie spodziewałem nikogo.

Zostałem tam do wieczora, czekając nocy, posadzając o powolność bieg słońca; myśląc, że dzień nie skończy się już chyba nigdy. W końcu zmrok zapadł oparłem się na ramach jednego okna, i ze wzruszeniem trudnem do opisania, widziałem okazując się jedne, za drugimi gwiazdy; oddałbym je jednak wszystkie, za tę jedną która się nie ukazywała.

Po cóż ci to wszystko opowiadam pani, czyż możesz mnie zrozumieć?

Nic nie wiesz o mojem życiu, nie wiesz żem przepędził dwa lata w tej stancyjce, biedny, nieznan, mając za jedynego przyjaciela pracę, a towarzyszką małe światełko, jakie co noc widziałem błyszczące z po za drzew, zapalało się ono i gasło o jednych godzinach.

Nie wiedziałem i dotąd nie wiem, kto czuwał przy owem bładem świetle, ale miałem dla niego uczucia nieokreślone, czułość tajemniczą. Z po za ogrodu, jaki nas dzielił, pożegnałem go całym sercem odjeżdżając, a za powrotem, nie ujrawszy go już, serce moje zasmuciło się jak po stracie brata.

Co się z tobą stało jasna pochodnio błyszcząca wśród cieniu tych nocy poświęconych pracy? Czy cię burza przygasila? Albo może Bóg, którego wzywałem dla ciebie, usłuchał mych prośb i świecisz blaskiem mniej smutnym, w warunkach szczęśliwszych? Jak pani widzi to cała historia; ale mam świeższą i piękniejszą, którą ci chcę opowiedzieć.

Udałem się nazajutrz (to jest wczoraj) koleją żelazną do Rouen, do zamku Richeport, gdzie mnie pan de Meilhan zaprosił. Choć go nie widziałas nigdy, znasz jednak jego poezje i lubisz je. Ja z mej strony wyznaję, że kocham osobę o tyle co talent. Przyjaźń nasza datuje się od dawna, byłem obecny pierwszem jankaniom jego muzy, widziałem rodzącą się i wzrastającą jego młodą sławę, przepowiedziałem odrazu stanowisko, jakie obecnie zajmuje w poetycznej plejadzie wielkiego narodu. Słuchając go możnaby powiedzieć, że jest nielitościwym szydercą: zbadawszy go, można dopatrzeć pod tą pokrywą ironji bez żółci, więcej czystości i prostoty, jak on przypuszcza, więcej niż jej mają ludzie mówiący głośno, o swój wierze i przekonaniach. Jestto rozum sceptyka, z duszą łatwowierną neofity.

W przeciagu trzech godzin para wysadziła mnie w Pont-de-l'Arche. Złorzecono już nieraz kolejom, ale trzeba przyznać, że ci poczciwcy którzy na nie powstawali, nie musieli się oddalać nigdy od rodziców, przyjaciół i kochanek.

Pan de Meilhan wraz z matką czekali na mnie na stacji.

Po uspokojeniu pierwszych zapałów powitania, bośmy się z poetą blisko trzy lata nie widzieli, możesz sobie pani wyobrazić pośród jakich wybuchów śmiechu wspominała była lady Penock! Edgar, który wiedział o mej awanturze, podniesionej jeszcze radością z mojej obecności, wykrzykiwał na całe gardło wiwaty! Jechaliśmy wolno w karecie odkrytej, śmiejąc się, rozmawiając, ściskając za ręce, zamieniając pytanie po pytaniu.

Podczas tego pani de Meilhan dzieląc naszą radość, patrzyła z zajęciem na nasze wzajemne zwierzenia. Wszystko to odbywało się w najpiękniejszej okolicy świata, okolicy przeslicznej, która aby być ocenioną, opisaną i opiewaną na wszystkie tony, potrzebowałaby oddalenia o jakie 500 mil od Francji.

Umysł mój jest naturalnie wesoły, serce także naturalnie smutne. Kiedy się śmieję, przebija we mnie zawsze coś co cierpi i skarży się; zdarza się często, że przechodzę raptownie z wybuchu wesołości do gwałtownego smutku i melancholji. Przybywszy do Richeport, zastaliśmy w zamku kilka osób, byli to goście z sąsiedztwa, między nimi był generał, chcący koniecznie użyć wiejskich przyjemności. Edgar chcąc się uwolnić od owego wojowniczego towarzystwa i opowiadań o bitwie pod Friedland, szczęśliwym zwrotem uszedł wraz ze mną do parku, gdzie też niedługo przybyła pani de Meilhan z resztą swych gości i generałem na czele. Przerwana na chwilę zręcznym zwrotem poety bitwa pod Friedland, wybuchła z całą furją.

Ale parku są wązkie. Wojownik szedł naprzód z Edgarem, który się poccił i wysilał napróżno by uwolnić swe ramię z uścisków żelaznych.

Pani de Meilhan i kilka jej towarzyszących osób przedstawiali pułk, ja tworzyłem arier-gardę. Kule świstały, wojska ścierały się, słychać było krzyki ranionych, czuć zapach prochu. Ażeby uniknąć przykrego widoku porażki, zwoleliśmy kroku, tak że na zakręcie alei spostrzegłem z przyjemnością, że drapnął z pod mego sztandaru. Natężyłem słuch, słyszałem tylko śpiew gila. Oddychałem powietrzem leśnym. Szukałem śladu stóp by się połączyć z towarzystwem, nie mogłem nic dopatrzeć. Byłem sam i wpadłem jak mi się to często zdarza w głębokie zamyślenie.

Upał był męczący, rzuciłem się na trawę w cieniu dużego drzewa, i tak słuchałem cichego ruchu natury i wzburzonego hałasu mego serca. Radość jakiej doznałem z zobaczenia Edgara, dała mi jeszcze żywiej odczuć próżnię niezgłębioną jakiej przyjaźń zapętnić nie może, i przypomniałem sobie także naszą rozmowę wieczorną pod lipami. Nie wiem, czy to przecuciem, bliższej zmiany w mym losie, czy też po prostu wpływem dnia gorącego, byłem niespokojny, a w tej niespokojności, było coś podobnego do oczekiwania na nieokreślone szczęście. Od czasu do czasu, powiew wiatru szeptał mi tajemniczo: nie smuć się, ta czarodziejka co ma być gwiazdą przewodnią twego życia, zjawi się wkrótce, poznasz ją ukochasz, i jedną myślą zgarniesz do duszy szczęście całego świata. Dumając tak, zaledwie przypomniałem sobie, że dopiero od kilku godzin jestem gościem pani de Meilhan, w oczach której owe raptowne zniknięcie mogło się wydać dziwnem. Ze swój strony Edgar, którego opuściłem zdradliwie w największym niebezpieczeństwie, nie może być zadowolonym z tej ucieczki. Wstałem i odpędzając od siebie owe urojenia, co brzęczały w koło mnie jak pszczoły koło ula, byłem gotowy połączyć się z porzuconym szwadronem, w tej błogiej nadziei, że jak przybędę sprawa będzie już ukończona, i niepozostanie jak tylko zaśpiewać pieśń zwycięstwa. Nieszczęściem, czy też szczęściem nie znałem drogi z parku, w jakim byłem i błądziłem w tym labiryncie zieloności, ogrzewanym pełnymi promieniami słońca, nie mogąc poznać w której jestem stronie.

Postępując z wolna usłyszałem brzęczący szum strumyka, gwarzącego z kamykami swego łożyska. Pociągnięty świeżością szedłem ku tej stronie, a wpośród rozrzuconych skał, krzewów i gałęzi, ujrzałem blond główkę chłodzącą się wodą. Widziałem tylko zwoje włosów spadających na szyję, w ciężkich złotych splotach i małą rączkę, która jak czarka z opalu, niosła wodę do usteczek tak świeżych jak ów kryształ jakim się orzeźwiały. Kibic był zupełnie zakryta roślinami, które się wznosiły po nad wodą: sądziłem że to dziecko, dziewczynka co najwięcej dwunastoletnia, córeczka jednej z osób, jakie zostawiłem na polu bitwy pod Friedland. Posunąłem się jeszcze o kilka kroków, i najśladszym głosem bojąc się spłoszyć:

— Panienko, zapytałem, możesz mnie objaśnić, czy pałac pani de Meilhan z tej strony? Po tych słowach zobaczyłem młodą piękną istotę, wysoką, szczupłą, powiewną, podnoszącą się jak lilia pośród krzewów. Spojrzała na mnie błada i wystraszona.

Ja także patrzyłem na nią milcząco i nieruchomo. Była to rzeczywiście królewska piękność lilii. Uczuciowa imaginacja muzy starożytniej, byłaby ją wzięła z pewnością za nimfę tego strumienia. Podobne do dwóch habrów w zbożu dojrzałym, jej dwoje niebieskich oczu miały czyste przezrocze źródła, gdzie się lazur nieba przegładał. Czoło, usta i spojrzenie, miały dumę Dianny polującej. W całym jej ułożeniu i w wyrazie twarzy, było coś królewskiego, co się ukrywa i nie chce być poznane; mieszanina szczególna, bojaźliwej odwagi i przeslicznej skromności. A w pośród tego wszystkiego blask młodości, kwiat niewinności, coś dziewiczego, prawie dziecinnego, co miarkowało sposobem cudownym godność całej osoby.

Oddaliłem się zmieszany i zachwycony, nie przemówiwszy już ani słowa. Błądząc jeszcze czas jakiś, odnalazłem małe wojsko, które dążyło w stronę zamku z generałem na czele. Tak jak to przewidziałem bitwa zbliżała się do końca; słychać tylko było kilka wystrzałów wymierzonych do zbiegów. Spostrzegłszy mnie z daleka, Edgar rzucił piorunującym wzrokiem.

— Ah! zdrajco powiedział, zrobiłeś odwrot a ja jestem przeszły kulaniami, mam ich sześć w piersiach.

— Panie, zawołał generał, na jakim miejscu opuściłeś sprawę?

— Zobaczysz, mówił Edgar, okrutnik zacznij na nowo.

— Jenerale wtrąciła pani de Meilhan, zdaje mi się że amunicje wyczerpane, a obiad na nas czeka.

— Bardzo dobrze odrzekł odważnie bohater; wzięliśmy Lubekę przy deserze.

— To my jesteśmy więźci, rzekł Edgar z westchnieniem.

Pani de Meilhan, oddzielił się od reszty towarzystwa i podszedł do mnie; zśliśmy obok siebie. Zapewne już pani odgadła jakie pytanie chciałem zadać Edgarowi, zrozumiesz także, co mnie od tego wstrzymało. Mój poeta oddaje cześć piękności; ale cześć pogańską przywiązaną do kształtów i koloru.

Ztąd wynika, że jak jest mowa o kobiecie pięknej, to śmiały jego opis szczegółów, nie dotyczących wcale wdzięku więcej idealnego, szczególne uwielbienie powierzchowności obraża delikatnych. Kobieta staje przed jego oczyma jak statua, lub grzeczynka pośród niewolników, a widząc w jaki sposób ją analizuje, zdaje się, że ją chce sprzedać, lub kupić. Jest tu tylko mowa o jego słowach, żywych, ubarwionych. Poeta, rzeźbi jak Fidyjusz, a wiersz jego ma białą czystość marmuru.

Wolę zatem udać się do Pani de Meilhan. Za powrotem do zamku, badałem ją i dowiedziałem się, że piękna nieznajoma jest Pani Ludwika Guerin. Na słowo, pani, serce moje ścisnęło się. Dlaczego? nie mógłbym na to odpowiedzieć. Dowiedziałem się później, że jest wdową i ubogą, że żyje z pracy swych pięknych rączek, jakie widziałem u źródła. Co do innych szczegółów, Pani de Meilhan nie była więcej wtajemniczoną o demnie. Kobieta tak piękna, młoda i biedna pracująca na swe utrzymanie, musi być istotą szlachetną. Uczułem dla niej litość pełną szacunku, która się zmieniła w uwielbienie, gdy się pokazała w salonie w całym blasku piękności, wdzięku i młodości. Spojrzenia nasze zetknęły się, co nas nieco zmieszało, jak gdyby między nami była jaka tajemnica.

Ukazała się tylko, a ja czułem się już pod urokiem jej obecności. Edgar powiedział, że to dama do towarzystwa, którą matka jego wzięła za nim on się ożeni. Nieszczęśliwy! gdyby nie pisał tak pięknych wierszy, byłbym go zadusił na miejscu. Podczas obiadu siedziałem naprzeciw niej, mogłem ją obserwować do woli. Wyglądała jak królowa, przy stole jednego ze swych wielkich wassali. Poważna i uśmiechnięta mówiła mało, ale zawsze w porę i głosem tak słodkim, że każde słowo wyszło z jej ust padało mi w serce jak perła. Sam byłem bardzo

milcząco i dziwiłem się jak mogą mówić kiedy ona milczy.

Wszystkie dowcipy Edgara wydały mi się nieznośnymi i po kilkakrotnie chciałem się odezwać:

„Edgarze uważaj, królowa cię słucha.“

Przy deserze kiedy generał szykował się do obłężenia Lubeki, wstaliśmy raptownie od stołu, by uniknąć tego opowiadania.

Edgar uciekł do parku, reszta gości rozproszyła się, pani de Meilhan zachowując całą gościnność pani domu walczyła przy boku generała, ja znalazłem się sam na sam z młodą wdową na tarasie zamkowym. Rozmawialiśmy i ze szczególnym zachwytem czułem jak moja dusza przechodzi cała w jej duszę. Powierzałem jej to, czego dotąd sam sobie nie powierzyłem. Mówiąc, zdawało mi się, że tłómaczę jej myśli. Ona odpowiadając, wypowiadała moje.

W przeciągu godziny poznałem ją zupełnie. Jest to umysł wytrawny mogący zgłębiać wszystko, serce niedoświadczone, nie pojmuje jeszcze życia.

W teorii jest to wysoki rozsądek dojrzały w nieszczęściu, w praktyce to dusza pełna niewiadomości. Dotąd żyła tylko czynnością myśli, wszystko inne śpi jeszcze, szuka i czeka. Kto ona jest? Nie jest wdową: Ludwika Guerin nie jest jej nazwiskiem, nie była nigdy zamężną. Pani de Meilhan waha się i wątpi, ja twierdzą i decyduję. Zkąd to jednak pochodzi, że tajemnica jaką się otacza ma cały urok enoty? Zkąd to pochodzi, że serce moje raduje się w cichości, kiedy rozsądek powinien niepokoić się głośno? Są to tajemnice jakich się nie podejmę wytłómaczyć. Wszystko co wiem, to to, że jest biedną i że gdybym miał koronę, uszlachetniłbym ją kładąc na jej czoło.

Nie mów mi pani, że to niedorzeczność, że miłość nie wkrada się jednym spojrzeniem lub słowem, że kiełkuje długo zanim zakwitnie. Zapaleńcy żyją prędko. Dążą do celu temi samymi drogami co rozsądek z tą różnicą, że rozsądek się wlecze a zapalęc leci. Zresztą ta miłość już dawno istniała, szukała tylko serca by się umieścić. A potem, jestże to miłość? Może ja się mylę, zkądże to pomieszanie, to upojenie co mnie ogarnia całego? Zkąd promień, co mnie oświeca?

Widziałem ją powtórnie, urok się zwiększył. Jakbyś ją pani kochała? jakby ją kochała moja matka. Pośród tego zajęcia, nie zapominam poleceń jakie mi pani dałaś. Zajmujesz się pani losem panny de Chateaudun, to dostateczne abym i ja się nim zajął. Książę de Monbert jest tu oczekiwany; za parę dni będę pani mógł udzielić świeżo żądanych wiadomości. Już od lat dziesięciu straciłem z oczu księcia: umysł śliczny, serce prawe, trzeba dodać że jest jedynym obecnie człowiekiem we Francji, który widział najwięcej tygrysów i pocztyljonów. Zbadam troskliwie jakie zmiany wywarły dziesięcioletnie podróże, w jego sposobie zapatrywania się i uczuciach, ale zdaje mi się, że w tej szczerzej naturze nie odkryję nic takiego co by mogło usprawiedliwić ucieczkę, dziwną i piękną dziedziczkę.

Zostaję z szacunkiem najniższym sługą

Rajmund de Villiers.

OBRAZY

NA WYSTAWIE ZACHĘTY SZTUK PIĘKNYCH
w Warszawie.

Do obrazów wiele zajmujących, nader odrobionych starannie i wymagających niepospolitego talentu, należy obraz p. W. Gersona przedstawiający króla Łokietka na wygnaniu. Na wysokiej górze zdaje się Hełmowej w Ojcowskiej dolinie, pod zasłoną gęstej krzewiny i rozwieszonych na nich opony, śpi wygnaniec otoczony pilnującą go strażą i gronem ciekawych wieśniaków. Miecz trzymany w rękę przez uspiętego, krzesło proste i niewygodne na którym siedzi, kask porzucony na ziemi, dwóch zbrojnych czatowników na pochyłości góry z czujnością widoczną nad słuchujących, wreszcie sędziwy towarzysz skinięciem ręki nakazujący wieśniakom ciche zachowa-

nie się, wybornie symbolizują niebezpieczeństwo jakie go otacza i trud obecnego jego żywota. Ugrupowanie zaś wieśniaków, czy ich z zajęciem zwrócone na bohatera, dziecięcy podniesione w górę aby lepiej mogły się mu przypatrzeć, niezmiernie przyczyniają się do uwydatnienia głównej treści obrazu.

Obrobienie szczegółów nader staranne. Postać Łokietka studjowana z krakowskiego grobowca, przedstawio wielkie z wyrzeźbioną na nim figurą podobieństwo, ale siłą talentu artysty ożywioną, przemawiającą do widza wyrazem myślącego oblicza i tryskającego z niego geniuszu. Pora dnia jest równie wyraźna, tak że ją prawie na godzinę można oznaczyć. Słońce niewiele nad horyzont wznesione, promieniami przeciskając się przez krzewy i gałęzie, oświetla twarze wieśniaków ale o tyle tylko, o ile ich siła i kierunek dozwala: reszta znajduje się w półcieniu umiejętnie przeprowadzonym od jasności do szarej swój powłoki. Staranność ta w wykończeniu, wielką stanowi zaletę pracy p. Gersona: nie wszyscy artyści nasi nią się zalecają, tym więc na większą zasługuje baczność i pochwałę. Jeżeli zaś są jakie usterek te nikną pod wrażeniem całości, skupiającej uwagę na głównej postaci obrazu. Ciszę jaka go otacza, znać w całym otoczeniu, zarówno w nieruchomych liściach i gałązkach, jak i w jasnych przedzierających się przez nie promieniach słońca, obrzucających blaskiem wieśniacze twarze. Patrzący mimowoli z nią harmonizuje i radby jak najcichszym zachowaniem, nie zakłócić snu uspiememu.

Drugi obrazek p. Gersona już dawniejszy „Igraszka dziatek“ nie jest pozbawiony pewnych zalet chlubnie przemawiających za talentem artysty. Scena odbywa się w chacie góralskiej. Młody góral stojący przy oknie, małym zwierciadłem trzymanym w ręku, migocząc niemi w promieniu słonecznym, przetrzuca światelko po ścianie i powale, do którego trzej dziatek wyciągają ręce, pragnie je gwałtem uchwycić. Na środku izby siedzi mała dziewczyna, obojętna na zabawę starszego rodzeństwa, zwraca jednak uwagę na młodego górala, jakby chciała czynność jego zrozumieć. W pracy tej jest wiele prawdy i życia, ale zdaje się że byłoby właściwsiem, ustawienie młodego swawolnika w głębi izby, a wysunięcie igrających dzieci na przód obrazu. Dla dziewczyny właściwsze miejsce także byłoby w oddaleniu, tak bowiem jak jest z młodym góralem znajduje się na pierwszym planie, co nie było zadaniem artysty. Wysunięte bliżej dzieci, ścigające błysk światelka, ułatwiłyby odwzorowanie na ich twarzach, ożywiającej ich radości, co i wartość samego obrazu podniosłoby i podało możność artyście szerszego rozwinięcia swego talentu. Promień słońca w długiej pasmudze przez całą przechodzący izbę, z unoszącymi się wśród niego delikatnymi pyłkami oddany z wielką prawdą, nowy stanowi dowód staranności p. Gersona w najdrobniejszych nawet szczegółach swój pracy.

Pan Tegazo przedstawił Zosię z pana Tadeusza, kiedy:

..... w porannym stroju i z głową odkrytą
Stała trzymając w ręku podniesione sito,

W pośrodku zielonego okręgu murawy,
Ścisła się okrąg ptastwa krzykliwy, ruchawy,
Opasany gołębi sznurem, nakształt wstęgi
Białej, środkiem pstrokaty w gwiazdy, w centki w
pregi....

Ona w środku wysoko nad ptastwem się wznosi,
Sama biała i w długą bieliznę ubrana
Kręci się, jak bijąca śród kwiatów fontanna:
Czerpie z sita i sypie na skrzydła i głowy,
Ręką jak perły białą, gęsty grad perłowy
Krup jęczmiennych.....

Chwila więc z poematu przez artystę obrana bardzo urocza i powabna. Przypominający ją sobie mimowoli wygląda Zosi pełnej życia, ruchliwej jak ptaszek, wesołej, uśmiechniętej, otoczonej skrzydlatą rzeszą stukającą dziobkami, w pośród której:

Tu dziobki bursztynowe, tam czubki z koralu
Wznoszą się z gęstwi pierza jak ryby z pod fali,
Wysuwają się szyje i w ruchach łagodnych
Chwieją się ciągle nakształt tulipanów wodnych.

Że poeta taką wymarzył sobie w Zosi dziewczeczkę, widać to w każdym ustępie jej dotyczącym. Zaraz w samym początku powiada:

..... blisko drzwi ślad widać nóżki
Na piasku bez trzewika była i pończoszki,
Na piasku drobnym, suchym, białym nakształt śniegu,
Ślad wyraźny lecz lekki, odgadniesz że w biegu
Chybkim był zostawiony nóżkami drobnymi
Od kogoś, co zaledwie dotykał się ziemi.

Dalej poeta mówi:

Usłyszała wołanie: Zosiu! — to głos cioci!
Sypnęła razem ptastwu ostatek łakoci,
A sama kręcąc sito, jako tanecznicą
Bębnek i w takt bijąc, swawolna dziewica
Jeła skakać przez pawie, gołębie i kury:
Zmieszane ptastwo tłumnie furknęło do góry...
Zosia stopami ledwo dotykając ziemi,
Zdawała się najwyższą bujać między niemi.
Przodem gołębie białe, które w biegu płoszy,
Leciały, jak przed wozem bogini rozkoszy.

Zosia zatem to wietrzna istota co zaledwie nóżką dotyka ziemi: to młoda swawolnica co w pospiesznym biegu zdaje się unosić po nad spłoszonym ptastwem, dla której przez drzwi już za daleka droga i żeby ją skrócić:

..... przez okno z krzykiem do alkowy wpadła,
I na kolanach cioci zadyszana siadła.

Taką jednak Zosią nie jest Zosia pana Tegazego. Jest to dziewczeczka młoda, ładna, pełna powabu i niewinności, wysmukła, zgrabna, w białej koszulce i spódnicy z bosą nóżką, ale nie znać w niej tego życia które poeta potrafił wlać w swoje słowa, które malując niby pędzlem i farbami, zrobił niemal żywą i niejako uplastyczną w myśli czytelnika. W Zosi p. Tegazego wdzięk i niewinność przeważa nad ruchliwością młodości, nawet ptastwo u stóp jej pstrzające się na murawie, jakieś sztywne i nie gwarne. Temu to jednak wdziękowi i niewinności, widniejących z ładnej buzi Zosi, w jej skromnym ułożeniu, winien obraz p. Tegazego swój powab jakiego mu odmówić nie można. Artysta starannie swój przedmiot opracowywał, gdyby mu dał inny tytuł np. *Niewinne dziewczę*, byłby w zupełności stanął na wysokości swego zadania: w Zosi pana Tadeusza wdzięk i niewinność to konieczne przymioty ale jeszcze nie te, które ją przyodziął poeta.

Pan Kunicki obdarzył Wystawę typami charakterystycznymi z okolic Nadbużnych, wyrysowanymi jak się zdaje z natury. Ciekawa to bardzo praca. Jest tam nauczyciel wiejski ze skwaszonym wyrazem twarzy, wiernie malującym wieczną wojnę wydatków z dochodami: pachciarz opasły z powagą odpowiednią do swego worka i znaczenia: włóścianin z ciężką pracą niemogący wiażać rozbratu: dzierzawca wyrosły z propinatora, gruby, pękaty jak kufa której winien mienie: żebrak z całą pokorą uniżoności: wreszcie stary sługa, zgarbiony, przychylony, we fraku z długimi szosami, nadającym mu postać jakby nie naszą, więcej cudzoziemską. Typ podobny p. Kunicki w wycieczkach swoich artystycznych musiał widać znaleźć skoro go odrysował, ale zdaje nam się że jest więcej wyjątkowym, nie noszącym cechy na miano typu zasługującego. W każdym razie w pracy p. Kunickiego zasługa niemała, gdyby podobnych pracowników więcej się w kraju znalazło, wierne przez nich odwzorowanie wybitniejszych postaci, złożyłoby zbiór bardzo ciekawy, a niezmiernie pożyteczny dla przyszłych powieściarzy i malarzy.

Doniesienia literackie.

N. 66 Przyjaciela Dzieci, wyszedł z druku i zawiera: Zamek w Sanoku. — Stryjasek z Ameryki (powiastka) przez Wołodego Skibę (d. c.) — Obrazek wyspy Rodus (z ryciną). — Listy cioci do siostrzenicy, przez J. Kamocką. — Szpak (powiastka). — Mała nauczka (wspomnienie mojej młodości). — Ziarnko, (wiersz) przez Stanisława Jachowicza. — Korespondencje. — Myśli i Zdania.

W numerze 67 Przyjaciela Dzieci, mieszczą się następujące artykuły: Wieśniacy z okolic Włocławka tak zwani Kujawiacy (z ryciną). — Wspomnienie historyczne o rzece Cydnus. — Stryjasek z Ameryki powieść przez Wołodego Skibę. — Święty Bernard w Burgundji z ryciną. Listy o literaturze polskiej pr. Ka. Wł. Wójcickiego. — Wiadomości z literatury Słowian Franciszek Ładysław Czelakowski. — Mali figlarze wspomnienie mojej młodości z ryciną. — Rozmaitości.

O UBIORACH.

Jeżeli we wszystkich tegorocznych wyrobach letnich wiele widzimy nowych pomysłów, to szczególnież różnaitość objawia się w perkalinach, żaknotach i różnych wyrobach bawełnianych. Dla młodych zwłaszcza osób zalecamy na lato takie suknie i kostiumy, których cena bardzo dostępna, kosztują bowiem około 8 rubli. Żaknotu na suknię dostanie nawet za rs. 6.

Suknia perkalinowa najmodniejsza, składa się ze spódnicy w kratki lub w szerokie pasy białe z różowym białe z szamoa, z lilla, z niebieskim, z zielonym lub z ciemno pasowym (caroubier). Pierwsza spódniczka ma szeroką falbanę ukośną. Na to idzie krótsza spódniczka sięgająca tylko do falbany, z perkaliny gładkiej w odpowiednim do pasów kolorze. Miejsce stanika zastępuje bluzka w drobne paseczki. Spódnica wierzchnia podcina się z boków klapką gładką, przechodzącą do stanu z białą plisną do koła. Dopełnia całości pasek objęty również plisną białą, zakończony w tyle kokardą i końcami.

Są także bardzo ładne perkaliny w szachownicę, te należą do najmodniejszych. Zwróciła między nimi uwagę naszą perkalina w kratę jasno-fioletkową czarną i białą, ciemno-pasowa w kratę czarną i białą — zieloną w dwóch odcieniach, niebieska i t. p. Z tych perkalin można robić całe suknie, lub też spódniczki, z falbaną do gładkiej tuniki. Na bluzki są do tego, perkaliny w drobną kratkę w tychże samych kolorach.

Uważaliśmy jeszcze śliczne perkaliny białe w rzucik z kwiatków w dwóch kolorach, naprzykład czarnych i zielonych, czarnych i pasowych, czarnych i niebieskich, kwiatki te bardzo starannie cieniowane. Na niektórych przechodzą w odstępach paski, na tle białem, a pomiędzy tem drobny rzucik, czarny lub kolorowy.

Na ranne szlafroczyki śliczne są perkaliny w paski białe i czarne, na tle niebieskiem, szamoa, lilla, zielonym i caroubier.

Dla dzieci zalecamy perkaliny w drobną kratkę lub w maleńki rzucik w rozmaitych kolorach. Dobór ich nadzwyczaj gustowny.

Żaknociki co do gustu nie różnią się wcale od perkalu, desenie w nich prawie też same. Różnica polega głównie w tem, że perkalina jako sztywniejsza, właściwiej służy na kostiumy, żagnot zaś stosowniejszy na suknie. Żaknotowe suknie robią zwykle dłuższe od kostiumów, ale nie powłóczyste, zaledwie na kilka cali położone na ziemi. Widzimy w próbkach ładne żaknoty na tle białem, w wielkie okrągłe muchy, w kolorach zielonym, niebieskim, caroubier, lila, szamoa i t. p. Spódnica u dołu obszywa się falbanką z gładkiego żaknotu w odpowiednim kolorze. Druga spódniczka taka sama jak pierwsza, zakończona także gładką falbanką podpinaną się wysoko po bokach na rozetę. Staniczek zapięty na krzyż, ma na wykroju gładką falbankę przeciągniętą do boku. Pasek gładki żaknotowy spina się w tyle na kokardę, od której spadają długie szarfy z żaknotu w muchy, objęte plisną gładką. Ubranie to nadzwyczaj ładne i świeże na letni upał.

Rozmiary letnich kapeluszy w ogólności bardzo małe, rondko pokrywa tylko sam wierzch głowy, z tyłu włosy ułożone w pukle. Dzisiejsze kapelusiki lubo małe wysoko za to podniesione w górę i bogato podpięte kwiatami. Niektóre z nich przypominają formę czółka naszych Krakowianek. Główną ich ozdobę stanowią końce koronkowe lub blondynowe, przepinane fantastycznie kokardami ze wstążek, a niekiedy pokryte delikatną girlandką z drobnych listków lub kwiatów. Najczęściej przechodzi przez piersi od jednego boku do drugiego, jedna tylko szarfa, bogato nagarniowana, przytwierdzona do kapelusza bukietkiem. Szarfa ta tworzy jakby naszyjnik.

Bardzo też modne kapelusiki okrągłe czarne, nagarniowane koronką, przystrojone kwiatami.

Tegoroczne kostiumy robią z taką samą tuniką i peleryną, która zastępuje okrycie.

Z czarnych okrywek, widzieliśmy kaszmirowe w formie baskiny, podpinane w festony — podbite marseliną, ogarniowane koronką, frendzlą lub pasmanterją.

Korespondencja z Paryża.

Wszystkie suknie długie i krótkie, ubierane są z tyłu jedną lub kilkoma bufami piętrzącymi się często jedna nad drugą, tak że kobieta dbająca choć cokolwiek o świeżość swego ubrania, musi wyrzec się zupełnie opierania plecami, a nawet zbyt wygodnego siadania na kanapach i fotelach, gdyż jedno takie zapomnienie może zrujnować cały przystroj strzępiastych rusz, falbanek, szarf, koronek, które przystrajają zwykle suto bufy „à paniers“.

Osoby miłujące wygodę w ubraniu nie naśladowują tej mody i przestają na marszczonę sukni w tylnych brytach i na tunice bez bufy.

Kapelusze wiosenne będą jeszcze wyżej podniesione nad czołem niż zimowe. Kwiaty do przybrania ich, najmłodniejsze są składające się z kilku kolorów, bukiet taki okrągły przypina się z boku kapelusza za diademem z mocno marszczonę koronki, co wielu osobom przypada bardzo do twarzy; do kapeluszy okrągłych używane są girlandki z kłosów i kwiatów polnych, które doskonałym swym wykończeniem do złudzenia naśladowują naturę.

Sposób czesania włosów coraz sztuczniejszym się staje, gdyż loki wielkie mają powodzenie; do ubrania codziennego, noszą koki naśladowujące warkoczki ułożone w rozliczne zwoje, z pod takiego koka spadają zwykle dwa długie angielskie loki przypięte zupełnie z tyłu głowy. Strojniesz ubranie głowy do sukni wyciętej, stanowi kok z rozmaitej długości loków, który przypina się jak można najwyżej, tak że zachodzi na całą prawie głowę, dopełnienie jej przybrania stanowi w takim razie kwiat pojedynczy z gałązką spadającą od niego, lub też djadem z kwiatów, który wysokością i lekkością w ułożeniu winien się odznaczać dobrym gustem.

Obuwie przy dzisiejszych krótkich sukniach gra niemałą rolę; do codziennego wyjścia Paryżanki noszą buciki z wysokimi cholewkami ze skóry czarnej, na wysokich obcasach, bardzo właściwe na niepewną pogodę, w dzień słoneczny wycięć już widać bucików z wełnianych materji lub z atlasu, jeżeli kostium jest jedwabny albo aksamitny. Wszystkie powyżej opisane buciki zapinane bywają na guziki z boku. Wykwintne elegantki noszą do każdego kostiumu kolorem i materiałem zastosowane obuwie, kto chce uniknąć tak wielkiego kosztu, winien poprzestać na obuwiu czarnem, jako odpowiedniem do każdego koloru sukni.

Szereg zabaw muzycznych w Paryżu zakończył świetny koncert w Tuilerjach, w którym znakomości jak panie Sass, Nilson oraz pp. Faure, Collin i David czynny przyjęli udział.

Cesarzowa Eugenia miała na sobie suknię z tiulu ciemno zielonego z tiuniką z *gros-grain* tegoż samego koloru, podpiętą, z obu stron spódnicy świetnymi różami z brylantów. Głowę przesłicznie uczesaną w krótkie loki, zdobiła gałęź liści drobnych kasztanu, z brylantów i szmaragdów. Szyję otaczał naszyjnik brylantowy naszyty na aksamitkę zieloną.

Księżna Matylda ubrana była w suknię z białego atlasu pokrytą tiulową białą, w haftowane złotem kwiaty, suknia zwierzchnia podniesiona była z przodu dwoma gałęziami z różowych tulipanów, które pnąc się po sukni, kończyły się przy bocznych brytach. Głowę przesłicznie uczesaną otaczała opaska grecka z drobnych szmaragdów i brylantów, spięta z boku bukietem z różowych tulipanów.

Księżna Metternich wyglądała jak prawdziwa nimfa wodna: suknię jej z niezmiernie przezroczy-

tego tiulu, koloru zwanego *vert d'eau*, pokrywało kilka spódniczek z illuzji białej, posianej jakby brylantowym pyłkiem, ostatnia spódniczka od góry podpięta była z obu stron spódnicy bukietami z białych lilji i traw wodnych, te same trawy ułożone na wzór frendzli, otaczały zwierzchnią spódniczkę z przodu znacząc jakby fartuszek.

Szarfa z *gros grain* koloru *vert d'eau*. Szyję otaczała aksamitka zielona od której spadała jedna niezmiernie wielka perła. We włosach lilja wodna i kilka motylek brylantowych, niemało rzucało blasku na tę toaletę wytwornej skromności.

Księżna M. przywdziała strój wspianiały. Bogata i ciężka jej suknia jedwabna koloru skóry, miała deseń w drobniuchne bukietki z róż pasowych, spódnica była tak długa że stanowiła oprócz ogromnego ogona bufę „à panier“ bufa ta oszyta była do koła bardzo szeroką i kosztowną falbaną z koronki, która z przodu stanowiła fartuszek. Na głowie był dyjadem z róż pasowych i słomkowego koloru. Na szyi kosztowny naszyjnik z brylantów.

Opis deseni do haftu.

N. 1. Deseń na poszewkę. Haft atłaskowy, pęczki i krateczki ażurowe.

N. 2 i 3. Kołnierzyk i mankiet wysyty ścięciem meksykańskim czarną bawełną, garniowany brzegiem koroneczką lub frywolitami.

N. 4. Deseń na główkę czepeczka muślinowego w formie siatki. Zęby haftowane na bufce idą do dołu czepeczka i garnirują się koronką.

N. 5. Litery J. C. do znaczenia poszewek.

N. 6a. Suknia z gładkiego wyrobu wełnianego zwanego „velours“ w kolorze ciemno wiśniowym. Stanik z wycięciem podłużnym (en coeur) z kłapkami jedwabnymi lub z aksamitu. Szmizetka tiulowa albo muślinowa marszczona w bufki, obszyta w koło szyi walansienką.

N. 6b. Suknia biała wełniana w atlasowe paski niebieskie. Szelkowe ubranie na staniku z niebieskiego atlasu przechodzi przez plecy aż do stanu. Brzegi dolne ozdabiają się w koło wąską fałdowaną wstążeczką. Na ramionach atlasowe kokardy.

N. 7. Litery do znaczenia bielizny stołowej. Haft biały atłaskowy, obwiedziony pasową bawełną.

N. 8. Litery do wyszywania sutaszem lub ścięciem łańcuszkowym.

N. 9 i 10. Szlaki do białych spódnic nad gładkimi obrębami.

N. 11 do 22. Szlaczki do bielizny.

N. 23 i 24. Litery L. G. i L. M. do znaczenia chustek do nosa.

N. 25 do 27. Narożniki do czarnych jedwabnych krawatek. Wyszycie dopełnia się kolorowym jedwabiem.

N. 28 i 29. Szlaczki do bielizny.

Opis kroju sukienki dla chłopczyka od 4 do 6 lat, sukienki dla chłopczyka od 2 do 3 lat i płaszczyka „Waterproof.“

Sukienka dla chłopczyka od 4 do 6 lat.

- N. 1. Przód sukienki.
- N. 2. Połowa pleców.
- N. 3. Połowa kołnierzyka.
- N. 4. Rękaw.
- N. 5. Całość sukienki.

Z wyrobu wełnianego w kolorze ciemno-granatowym i z kartonu popielatego, na podszewkę krają się dwa przody i plecy w całości. Litery wskazują jak

sukienkę zeszyć należy, a później naszywa się pletnia i baryłki szmuklerskie do zapinania. Pasek może być z czarnego rypsu albo skórzany.

Sukienka dla chłopczyka od 2 do 3 lat.

- N. 6. Połowa przedniego bryta sukienki.
- N. 7. Boczna część sukienki do przodu.
- N. 8. Połowa pleców stanika do sukienki.
- N. 9. Boczek do stanika.
- N. 10. Połowa spódniczki do tyłu.
- N. 11. Karczek.
- N. 12. Epolet.
- N. 13. Całość sukienki.

Przednia część sukienki zeszywa się z bocznym brytem od G do L. z lewej strony, od M. do L. z prawej strony, która zostaje niezszyta od M do G dla otworzenia sukienki. Tylny bryt spódniczki fałduje się od J do F. Sukienka taka robi się zwykle z popeliny, kaszmiru, tartanu w szkocką kratę lub białej piki. Obłożenie zastosować trzeba do materiału sukni, biorąc do tego plusz, aksamit lub kaszmir i guziczki złożone lub z lawy. Do białej pikowej sukienki użyć można szmoo piki.

Płaszczyk „Waterproof.“

Tak dla dorosłych osób jak i dla dzieci bardzo używane są na niepogodę płaszczyki z materiału „impermeable“ w kolorze popielatym i brązowym zapinane z przodu na rogowe guziki. Pelerynka z tyłu zebrana w dwóch miejscach i przyozdobiona rozetami, garniowana jest w około ruszą wycinaną w ząbki. Rękawy u dołu podszywają się listewką i naciągają elastyczną tasiemką.

OGŁOSZENIE.

MAGAZYN

S. DZIECHCIŃSKIEGO

Otrzymał z zagranicy wielki dobór *Okryć i sukien* wiosennych które sprzedaje po cenach jak najtańszych.

Ulica Miodowa N. 486 lit. a.

Korespondencja.

Pani Marji M. Kok z lokami kosztuje rs. 5. Od roboty dając swoje włosy rs. 2 kop. 50. Książka do nabożeństwa oprawna w aksamit i klamry srebrne rs. 15.

Panu B. Len. Adamaszek błękitny z białem można tylko na ciemno brązowy ufarbować.

Pani O. W. w S. Kamizelka kaszmirowa kosztuje rs. 4. Pikowa rs. 4 atlasowa rs. 7 te ostatnie zupełnie nie używane. Chustka Himalaja rs. 12 w szkockim guście od 6 do 9 rs. wielkość trzy łokciowa.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza Ulica Żabia Nr. 956 dom dawniej Krzemieńskiego.

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz z deseniami do haftu, oraz forma: sukienki dla chłopca od 4 do 6 lat, sukienki dla chłopca od 2 do 3 lat, i płaszczyka Waterproof dla dziewczynki.